

11. Młody kaznodzieja w Marschland

11. Młody kaznodzieja w Marschland

Kiedy Spurgeon opuścił szkołę w Colchester, by udać się do Maidstone, pan Leeding, który uczył go przez trzy lata, udał się do Cambridge, by otworzyć własną szkołę.

W dniu 6 sierpnia pan Leeding otrzymał list od Johna Spurgeona z propozycją, aby jego najstarszy syn pracował dla niego, by mógł kontynuować naukę u swojego poprzedniego nauczyciela. Pan Leeding odpowiedział jeszcze tego samego dnia: „Więcej niż raz życzyłem sobie” - napisał dyrektor szkoły w Cambridge - „aby można było zawrzeć porozumienie w sprawie usług Pańskiego syna w miarę rozwoju mojej szkoły. Ale mój częściowy sukces wydawał mi się zaprzeczać temu, że mógłbym go zatrudnić. Wysoko cenię go za to, że nigdy nie dążył do układu, który teraz pan mi proponuje. Jestem gotów pomóc mu w każdy sposób w jego nauce. Dam mu pokój, wyżywienie i opierunek za darmo w zamian za jego pomoc w mojej pracy ... Pańska oferta, która dotarła do mnie w tym szczególnym momencie, jest niesamowitą interwencją Bożej Opatrzności na moją korzyść.”

Szesnastoletni nauczyciel pomocniczy, który w ten sposób trafił do Cambridge, był również świadomy Bożej opatrzności. „Widzę” - napisał później - „tysiąc zbiegów okoliczności, jak to się mówi, wszystkie współpracujące ze sobą jak koła w wielkiej maszynie, aby doprowadzić mnie dokładnie do miejsca, w którym jestem”. Przez następne trzy lata ręka Boża nadal przygotowywała go do życiowego zadania głoszenia ewangelii każdemu stworzeniu, do którego mógł dotrzeć jego głos lub pióro. Ale najpierw skorzystali na jego obecności chłopcy z Akademii przy Union Road i bywalcy wiejskiej kaplicy w Marsh.

W Cambridge zatrzymałem się u rodziny, która o godzinie ósmej dawała każdemu, od służącego do gospodarza, pół godziny na ciszę, którą spędzano modląc się i medytując we własnym pokoju. Jeśli ta zasada byłaby przestrzegana we wszystkich gospodarstwach domowych, byłoby to wielkie błogosławieństwo. Dołączyłem do Kościoła Baptystów, jednego z najbardziej honorowych, hojnych i mądrych kościołów na świecie. Kiedy po raz pierwszy tam poszedłem, nikt się do mnie nie odezwał. Podczas niedzielного wieczornego nabożeństwa usiadłem obok pewnego pana, z którym krótko pożegnałem się pod koniec nabożeństwa.

„Czy wszystko w porządku?” zapytałem.

„Nie mam zaszczytu pana znać” - brzmiała zimna odpowiedź.

„Cóż, gdy przed chwilą wziąłem chleb i wino, pomyślałem sobie, że jesteśmy jedno w Chrystusie – czy tak nie jest?”.

Tymczasem znaleźliśmy się na ulicy, on położył mi obie ręce na ramionach - miałem zaledwie szesnaście

lat - i powiedział: „Masz całkowitą rację, mój drogi bracie; tak, masz rację. Chodź ze mną na herbatę. Obawiam się, że nie powiedziałbym do ciebie ani słowa, jeśli ty pierwszy nie zwróciłbyś się do mnie!“. Ten dobry przyjaciel towarzyszył mi później w wioskach, w których miałem głosić kazania. Do dziś jest jednym z moich najlepszych przyjaciół.

Moje pierwsze kazanie

Gdyby Bóg powiedział do mnie zaraz po moim nawróceniu: „Wprowadziłem cię do mojego domu, a teraz uczynię cię użytecznym. Staniesz się wycieraczką, na której święci wycierają swoje stopy.”- prawdopodobnie odpowiedziałbym - „Och, będę szczęśliwy, jeśli będę mógł usunąć kurz z ich błogosławionych stóp, ponieważ kocham lud Boży; jeśli będę mógł służyć mu jako ten najbardziej uniżony, to będzie to moją radością.” Nie przyszłoby mi do głowy, by zostać przywódcą w Bożym Izraelu. Kiedy poddałem się mojemu Zbawicielowi, oddałem Mu moje ciało, moją duszę, mojego ducha, wszystko, co miałem i co kiedykolwiek będę miał tutaj i w wieczności. Oddałem mu moje talenty, moje siły, moje zdolności, moje oczy i uszy, moje uczucia, moje osądy, całą moją istotę jako człowieka i wszystko, co miałem, co mógłbym mieć, jakiegokolwiek nowe cechy i zdolności, które zostały mi dane. Jeśli w tej dobrej godzinie miałbym powody do smutku to tylko po to, aby ubolewać nad czasami i okolicznościami, w których nie byłem wystarczająco wierny, jak to obiecałem mojemu Panu.

Moja pierwsza służba, z którą moje młodzieńcze serce dziękowało Chrystusowi, polegała między innymi na wysyłaniu starannie wybranych przeze mnie traktatów do znanych mi osób. Potem wychodziłem z domu i rozdawałem traktaty w Newmarket i rozmawiałem z ludźmi o sprawach Królestwa Bożego. Nie uczyniłem nic dla Chrystusa, jeśli nie wierzyłem, że jestem choć trochę zdolny to uczynić. Potem czyniłem więcej i trochę więcej i jestem pewien, że wielu sług Bożych zostałoby doprowadzonych do większej służby dla Pana, gdyby zaczęli we właściwy sposób. Ci, którzy nie zaczęli, czyniąc pierwszy krok - a przekazywanie traktatu jest takim pierwszym krokiem - nie mogli przejść do drugiego. Jeśli jednak pierwsze kroki się powiodą, zostaniemy bardziej zachęceni i z Bożą pomocą staniemy się coraz bardziej użyteczni.

Bardzo dobrze pamiętam pierwsze miejsce, w którym przemawiałem do zgromadzenia dorosłych ludzi. Nie było to moje pierwsze publiczne przemówienie, gdyż w Newmarket i Cambridge, jak i w innych miejscach, Szkoła Niedzielną dała mi wiele okazji do głoszenia ewangelii. Ale aż do tego pełnego wrażeń niedzielnego wieczoru nigdy nie głosiłem regularnie zaplanowanego kazania do zgromadzenia zebranego na nabożeństwo. Wszystko to miało miejsce w małym wiejskim domku niedaleko Teversham, gdzie spotkała się mała grupa prostych mieszkańców wsi. Cała ta historia nie jest już nowa, ale warto ją opowiedzieć raz jeszcze. W Cambridge istnieje stowarzyszenie kaznodziejów związane z kościołem przy St Andrew's Street. Kiedyś w tym kościele kazania wygłaszali tacy ludzie jak Robert Robinson i Robert Hall. Pewna liczba braci zwiastowała ewangelię w wielu wioskach wokół Cambridge, podzielonych według planu zwiastowania. Za moich czasów przewodniczył im czcigodny James Vinter. Nazywaliśmy go „Biskup Vinter”. Jego ciepła dusza, gorące serce i życzliwy sposób bycia umacniały braterstwo w miłości. Była to więc również bardzo pożyteczna grupa gorliwych pracowników, którzy należeli do Stowarzyszenia Kaznodziejów. Pewnego sobotniego poranka, kiedy szkoła właśnie się kończyła i chłopcy wracali do domu

na wolne popołudnie, przyszedł „biskup”. Poprosił mnie, abym następnego wieczoru poszedł z nim do Teversham, ponieważ młody człowiek, który nie był jeszcze przyzwyczajony do głoszenia kazań, musiałby tam głosić i z pewnością ucieszyłby się z towarzystwa. Gdyby poprosił mnie, bym poszedł i wygłosił kazanie, z pewnością odpowiedziałbym stanowczym „Nie!”. Ale pójść po prostu jako towarzysz z młodym człowiekiem, który nie lubił być sam, i który mógł mnie poprosić najwyżej o zaśpiewanie pieśni lub pomodlenie się, to nie była trudna rzecz. Chętnie więc przystałem na tak zrozumianą prośbę. Podobnie jak pacholę, które nie wiedziało, co robili Jonatan i Dawid, gdy biegł za strzałą, podobnie i ja nie wiedziałam też, kiedy zostałem namówiony, aby towarzyszyć młodemu człowiekowi w podróży do Teversham.

Moja szkółka niedzielna skończyła się, wypiliśmy herbatę i razem z młodym człowiekiem, starszym ode mnie tylko o kilka lat, ruszyliśmy przez Barnwell i potem wzdłuż Newmarket Street. Rozmawialiśmy o wielu dobrych rzeczach, a na koniec wyraziłem nadzieję, że poczuje obecność Boga, gdy będzie głosił kazanie. Wydawał się zaskoczony i wyjaśnił mi, że nigdy wcześniej nie głosił kazań i na pewno nie potrafi. Sądził raczej, że robi to jego młody przyjaciel, pan Spurgeon. Nie myślałem o tym wszystkim w ten sposób. Mogłem tylko odpowiedzieć, że nie jestem kaznodzieją i że nawet gdybym był, to jestem zupełnie nieprzygotowany. Mój towarzysz odpowiedział, tym razem jeszcze bardziej stanowczym tonem, że w żadnym razie nie jest kaznodzieją i wyjaśnił, że chętnie pomoże mi w każdej innej części nabożeństwa, ale nie wygłosi kazania, nawet jeśli ja go nie wygłoszę. Potem powiedział, że po prostu muszę powtórzyć lekcję ze szkółki niedzielnej, ponieważ to może dać zwykłym ludziom więcej i być dla nich bardziej zrozumiałe, niż nauczone kazanie wykształconego pastora. Czułem, że nie mam wyboru, ale muszę dać z siebie wszystko. Idąc cicho, wznosiłem duszę do Boga i poczułem w mojej duszy, że z pewnością mogę przekazać coś z wielkości i miłości Jezusa, tym kilku prostym wieśniakom. Modliłem się o pomoc Bożą, a potem zdecydowałem się podjąć tę próbę. Mój tekst miał brzmieć: *„Ale dla was, którzy wierzycie, jest On rzeczą cenną...”* (1 Piotra 2,7).

Chciałem zaufać Panu Bogu, aby On otworzył moje usta, kiedy ja będę chwalił Jego drogiego Syna. Wydawało mi się to wielkim przedsięwzięciem i poważną próbą, ale będąc zależny od Ducha Świętego powiedziałbym im przynajmniej o Krzyżu. Nie pozwoliłbym ludziom wrócić do domu bez słowa od Boga.

Weszliśmy do niskiej izby, krytej strzechą chałupy, gdzie zebrali się kilku chłopów z żonami. Śpiewaliśmy, modliliśmy się i czytaliśmy Pismo Święte. Potem przyszło moje pierwsze kazanie. Jak długo to trwało, czy jak krótko, nie potrafię dziś powiedzieć. Chociaż nie było tak źle, jak się obawiałem, byłem jednak zadowolony, kiedy doprowadziłem wszystko do końca i mogłem zapowiedzieć ostatni hymn. Ku mojej radości nie musiałem przerywać ani zatrzymywać się w środku kazania, ani nie zabrakło mi myśli i wreszcie dopłynąłem do upragnionej przystani. Zakończyłem i wziąłem śpiewnik, ale ku mojemu zdumieniu starszy głos zawołał: „Niech cię Bóg błogosławi, drogi chłopcze”. Ile masz lat?”

Odpowiedziałem bardzo poważnie: „Proszę poczekać do końca nabożeństwa, zanim będzie można zadawać takie pytania. Zaśpiewajmy teraz.”

Zaśpiewaliśmy, a młody kaznodzieja odmówił błogosławieństwo; potem w pokoju rozpoczęła się rozmowa, ciepło i uprzejmie prowadzona, w której każdy zdawał się brać udział.

„Ile masz lat?” - było pierwszym zadaniem pytaniem. „Poniżej sześćdziesiątki” - brzmiała moja odpowiedź. „Tak, i z pewnością poniżej szesnastki” - odpowiedziała starsza pani.

Obiecałem, że wrócę, gdy „panowie z Cambridge” uznają mnie za odpowiedniego. W tym czasie mój szacunek dla „panów z Cambridge” był bardzo duży.

Czy nie ma żadnych innych młodych mężczyzn, którzy mogliby zacząć mówić o Jezusie w równie prosty sposób? Młodzi mężczyźni, którzy byli niemi jak ryby? Nasze wsie i przysiółki (przyp. tłum. skupisko kilku gospodarstw) są doskonałą okazją dla młodych mówców. Żadna samotna grupa domowa nie powinna być pozostawiona bez sali kaznodziejskiej, żadna wioska bez nabożeństwa. To jest lekcja z chaty krytej strzechą w Teversham. Dużą wagę należy przywiązywać do osądu mężczyzn i kobiet, którzy żyją blisko Boga. W większości przypadków ich rady będą dobre. A jednak nie jest ona ani ostateczna, ani nieomylna i musi być oceniana w świetle inteligencji i pobożności tego, który doradza. Pamiętam bardzo dobrze, jak kiedyś chrześcijańska wychowawczyni, która była z pewnością jedną z najlepszych wychowawczyń, jakie kiedykolwiek żyły, bardzo poważnie doradzała mi, abym nie głosił kazań. Ze szczerością i cierpliwością starałem się oszacować wartość jej opinii, ale została ona przeważona i osądzona przez ludzi o większym doświadczeniu. Kiedy człowiek jest naprawdę powołany przez Boga do służby, to nie może inaczej - musi głosić. Jak ogień w jego kościach, tak będzie z tym wewnętrznym parciem, aż się przebije. Przyjaciele mogą mu to odradzać, przeciwnicy mogą go krytykować lub pogardliwie naśmiewać się i nawet mówić, że brak mu pokory. Jeśli ma powołanie z nieba, to musi głosić. Choćby ludzie na całej ziemi z niego zrezygnowali i nie słuchali – to on nadal będzie głosił, choćby dla gołych szczytów gór. Jeśli ma powołanie nieba, a nie miałby zgromadzenia, któremu by głosił, choćby do szumiących wodospadów i cichych strumyków będzie głosił. Nie mógłby milczeć. Stałby się głosem wołającego kaznodziei na pustyni: „Prostujcie drogę Pana“. Kiedy taki człowiek wypowiada to, co Duch Święty mu daje, odczuwa potem świętą radość, pochodzącą z nieba. A kiedy to się skończy, pragnie ponownie rozpocząć swoją pracę.

Czy Boże Słowo nie jest jak ogień, który pali? Czy ja nie mam mówić tego, co Bóg wkłada w moje usta? Przez trzy lata byłem człowiekiem Cambridge, chociaż nigdy nie studiowałem na uniwersytecie. Nie mogłbym go ukończyć, ponieważ byłem nonkonformistą. Poza tym dla mnie było lepiej uczyć się od mojego wspaniałego nauczyciela i kochanego przyjaciela, a jednocześnie głosząc Słowo, wstawałem wcześniej rano, modliłem się i czytałem Biblię; potem albo uczyłem moich uczniów albo sam studiowałem teologię - tyle ile mogłem. Potem, około piątej po południu, jako wędrujący kaznodzieja obchodziłem wsie leżące wokół Cambridge. Tam przekazywałem wszystko, czego się nauczyłem. Czas, który poświęcałem na odbycie wędrówki do wsi, pomagał mi przetrwać wszystko, co przeczytałem. Głosząc to czego się nauczyłem, przekazując to dalej, bardzo wyciskało się to w mojej pamięci.

Musiałem być wyjątkowo dziwnie wyglądającym młodzieńcem, zwłaszcza kiedy padało. Ponieważ musiałem trzy, pięć, a nawet osiem mil przejść pieszo, aby dotrzeć do miejsca, a potem wracać tą samą drogą, często kiedy padało, ubierałem odporne na wodę spodnie i płaszcz przeciwdeszczowy, a na głowę nieprzemakalny kapelusz. Na dodatek w ręku niosłem latarnię, która oświetlała mi pełną drogę.

Jestem tego pewien, że ta wczesna służba dla mojego Pana, przyniosła mi wiele korzyści. Ileż to razy miałem zaszczyt głosić Ewangelię u wieśniaków w kuchni, albo w ubogiej chatce, czy w stodole! Może dlatego, że byłem jeszcze bardzo młody, przychodziło tak wiele ludzi. Myślę, że czasem powiedziałem jeszcze coś niemądrego, czasem zażartowałem, ale moi słuchacze nie krytykowali tego i po piętach nie deptał mi żaden reporter. Miałam więc szczęśliwą edukację, w której dzięki ciągłej praktyce uzyskałam poziom bystrości, jaki mam dzisiaj. Przeżyłem wiele przygód i miałem różnorodne doświadczenia w tej pracy jako podróżujący kaznodzieja. Przypomniałem sobie pewien letni wieczór, kiedy miałem głosić w wiosce niedaleko Waterbeach. Po drodze niebo pociemniało, a nade mną wybuchła potężna burza z piorunami. Niektórzy ludzie boją się burzy z piorunami, ale bez względu na to, jak silna była burza, od tego czasu, odkąd zacząłem wierzyć w Pana Jezusa nie bałem się. Uwielbiałem słuchać głosu mojego Niebiańskiego Ojca podczas burzy.

Tego wieczoru cieszyłem się z powodu tej burzy. Kiedy mijałem dom na farmie w pobliżu drogi,

zobaczyłem kobietę, która wydawała się być zdenerwowana i jakoś zaniepokojona burzą. Nie chciałem przechodzić obok i zostawiać mojego bliźniego samego ze swoimi zmartwieniami; wszedłem więc do domu, przeczytałem kilka wersetów z Biblii, pomodliłem się z tą kobietą i pocieszyłem ją tym. Potem poszedłem dalej. Gdy dotarłem do wsi, zdjąłem płaszcz przeciwdeszczowy, bo bałem się, że jego błyszcząca powierzchnia może odbijać ciągle błyskawice i tym samym straszyć przerażonych ludzi. Stwierdziłem, że ze względu na złą pogodę nikt nie spodziewał się, że będzie usługa. Chodziłem więc od domu do domu i zapraszałem ludzi. Ta niezwykła metoda łączenia zboru przyciągnęła na nabożeństwo wielu słuchaczy. Czasami, kiedy głosiłem w ten sposób w niskim, zatłoczonym pokoju na wsi, zauważyłem, że świece zaczynały migotać z powodu braku tlenu - wyraźna wskazówka, że za chwilę moglibyśmy umrzeć, wdychając powietrze, z którego vitalny element prawie całkowicie zniknął. Wtedy obawiałem się, że światła mogą całkowicie zgasnąć i wolałem zwolnić cały zbor wcześniej niż zwykle.

Jako młody początkujący przeczytałem w podręczniku homiletyki coś, co mnie zaniepokoiło: „Jeśli ktoś ma trudności z wyborem tekstu, to lepiej będzie dla niego, aby znalazł sobie pracę jako sprzedawca lub wieśniak, bo prawdopodobnie nie ma powołania do tego urzędu”. Ponieważ to był właśnie mój krzyż i nędza, stanąłem przed pytaniem, czy powinienem podjąć świecki zawód i zrezygnować z posługi. Ale nie zrobiłem tego i do dziś jestem przekonany, że mimo utrzymującej się niepewności w doborze tekstów poszedłem za wezwaniem, które Bóg ewidentnie potwierdził. Zacytowana uwaga sprawiła, że byłem tak niepewny, że zapytałem dziadka, czy kiedykolwiek miał problem z wyborem tekstu w ciągu swej pięćdziesięcioletniej posługi. Otwarcie powiedział mi, że to był jego największy problem, w porównaniu z którym samo głoszenie prawie nie sprawiało mu kłopotu.

„Trudność nie polega na tym, że jest za mało dobrych tekstów”- powiedział - „ale jest ich za dużo, więc dlatego wybór jest tak trudny”. Przypomina to wybieranie kwiatów w kwitnym ogrodzie. Wybór tekstu sprawia, że znajduję się w kłopotliwym położeniu – „l'embarras de richesse” - jak mówią Francuzi, kłopotliwe położenie spowodowane mnóstwem bogactwa. Wyznaję, że często się modłę i czekam na jakiś temat godzina po godzinie, czyli przez większość czasu przygotowuję się do kazania.

Ciężko pracowałem nad przygotowaniem tematów, z włączeniem naukowych wypowiedzi, tworzeniem szkieletu z wersetów Pisma Świętego, a następnie zakopaniem każdej kości w katakumbach zapomnienia, wypędzeniem ich na wzburzone morza, do momentu, aż ujrzałem czerwone światła i upragniony port. Miałem opracowanych wiele kazań tak, że mógłbym przez miesiąc głosić, gdybym tylko czuł się na tyle wolny, aby móc to uczynić. Nie miałem wtedy odwagi, aby używać ich jak uczciwego marynarza do rozładunku towaru pochodzącego z przemytu. To były zawsze najszcześniejsze dni, kiedy mój Mistrz dał mi rano dobry tekst. Gdybym miał wygłosić dwa lub trzy kazania w ciągu dnia, pytałem o poranny temat i głosiłem na ten temat. Poprosiłem Go o popołudniowy temat lub tekst na wieczór i głosiłem o tym, co stawało się dla mnie radością mojej duszy. Nie medytuję nad tym zawodowo, ale raczej kieruję najpierw dany tekst do siebie i ciesze się nim. Taki prosty bezpośredni pokarm jest wtedy bardziej odpowiedni dla ludzi, niż kazanie przygotowywane w ciągu tygodnia, ponieważ jest świeży i pochodzi prosto z serca, do którego dopiero co zostało dostarczone. Dlatego to, co jest dla nas dobre, co nam dobrze smakuje i co postrzegamy jako dobre, jest również dobrze wypowiedane.

Czasami w niezwykły sposób otrzymuję mój tekst. Kiedy mieszkałem w Cambridge, musiałem zazwyczaj głosić w pobliskiej wsi i jak zawsze udawałem się tam pieszo.

Chociaż czytałem i rozmyślałem cały dzień, nie znalazłem żadnego użytecznego tekstu. Oświecenie nie nadeszło, mimo że modliłem się i przechodziłem od wersetu do wersetu w Biblii, mój umysł nie zatrzymał się na żadnym tekście. Następnie podszedłem do okna i wyjrzałem. Po drugiej stronie drogi zauważyłem biednego samotnego kanarka, który został zaatakowany przez stado wróbli, które zdawało się, że chciały rozerwać go na kawałki. Wtedy przyszedł mi do głowy pewien werset. Wyruszyłem w długą, samotną drogę. Z największym spokojem głosiłem o obcych, których nazywają „pstrokatymi ptakami” i atakach, których doznają ze strony wrogów. Głosiłem swobodnie i łatwo, jak sądzę, ku pociesze moich słuchaczy. Tekst podesłały mi tym razem nie kruki, ale wróble.